

notatki samobójcy

DZIEŃ 3

Jest nas pięcioro. Czubków. To znaczy takich w moim wieku. Jest też tłum dorosłych świrów, ale siedzą na swoim oddziale. My mamy własne wariackie przedszkole. Jest jak na Święcie Dziękczynienia, kiedy wszystkie dzieci są sadzane osobno przy niskim stoliku w kącie. Tyle że my nie dostajemy indyczych udek, tylko ochłapy, których nikt nie chce. Na przykład podroby.

Chcę to powiedzieć jasno: mamy tu czworo wariatów i mnie. Poznałem ich pierwszego dnia terapii grupowej. Wpierw nie chciałem w niej uczestniczyć, ale doszedłem do wniosku, że jeśli udowodnię, jaki jestem niesamowicie normalny, będą musieli mnie wypuścić.

Terapia grupowa odbywa się w świetlicy, czyli dużym pomieszczeniu z kanapami, telewizorem, gramy i tak dalej. Przypuszczam, że właśnie tam zbierają się świry, kiedy nie zajmują się świrowaniem.

Usiedliśmy w kręgu na twardych, plastikowych krzeselkach. Pomarańczowych – niczym pacholki drogowe – jakby ostrzegały przechodniów: „Uwaga, rozmowy wariatów.

Wskazany objazd”. Poza paskudnym wyglądem te krzeselka mają jeszcze jedną wadę: są bardzo niewygodne. Po mniej więcej pięciu minutach tyłek mi zdrętwiał i wierciłem się, żeby znaleźć jakąś w miarę komfortową pozycję. Bez skutku.

Kac Dupek przedstawił mnie wszystkim następująco:

- Słuchajcie, to jest Jeff.

A oni odpowiedzieli:

- Cześć, Jeff.

Mieli identyczne głosy, zupełnie jak zombie mamroczące: „Mmm... mózg”. Nikt na mnie nie spojrział. Nie odpowiedziałem. Nie zakładałem, że zostanę tu na tyle, aby się z kimś zaprzyjaźnić.

Potem gapiiliśmy się na siebie, tak jak wspomniał Kac Dupek. Nikt nie wykrztusił ani słowa, aż w końcu lekarz wskazał chudą dziewczynę z długimi, jasnymi włosami, obgryzającą paznokcie, i zaczął:

- Alice, może opowiesz Jeffowi o sobie?

- Mam na imię Alice - oznajmiła. A to ci niespodzianka. - Co powinieneś o mnie wiedzieć? Ostatni chłopak mamy ciągle przychodził do mojego pokoju nocą i sobie używał, więc raz zaczekałam, aż zaśnie, i poszłam do jego pokoju z benzyną do zapalniczek i zapałkami. Nie zgiął, za to ja trochę się poparzyłam.

Podniosła ręce i zobaczyłem czerwone blizny na jej przedramionach. A ona się roześmiała. Potem zasłoniła twarz długimi włosami.

Nie wiem, czy mówiła prawdę. Mogła się przypadkiem poparzyć. A to o kochanku matki pewnie zmyśliła. No, w każdym razie nie zdziwiłbym się, gdyby kłamała. Przecież takie historie są o wiele ciekawsze. Gdybym ja był takim idiotą, żeby się podpalić, też bym teraz łgał.

Rzecz w tym, że jednak jakoś jej uwierzyłem. Nie wiem dlaczego. Co dziwniejsze, nie przerażało mnie to, co zrobiła. Potrafię zrozumieć, czemu podpaliła tego kolesia, co może dowodzi, że jestem tak samo porąbany jak ona. Z tym że ja bym tego nie zrobił. Może na tym polega różnica między wariatami i niewariatami?

Nie powiedziała nic więcej, więc zajęliśmy się jej sąsiadką. Dziewczyna była przeciwieństwem Alice: gruba, ruda, kędzierzawa i pyzata. Kiedy pochwyciła moje spojrzenie, uśmiechnęła się, jakbyśmy się spotkali w autobusie, a nie w szpitalu.

- Mam na imię Juliet - zaszcebiotała jak ptaszek z kreskówki. - Jestem dziewczyną Bone'a.

Zrobiła pauzę, jakbym powinien wiedzieć, co to za jeden ten Bone - jakiś raper, aktor czy inny celebryta - i jej pogratulować. Ponieważ milczałem, Juliet wskazała głową chłopaka obok mnie. Ten wbijał wzrok w swoje stopy.

- To Bone - oznajmiła tonem, jakby prezentowała nowy samochód. - Gramy razem w kapeli Seks i Przemoc Gratis. Bone to gitarzysta, ja śpiewam.

Bone, ubrany w biały podkoszulek, westchnął i założył ręce na piersi. Miał mnóstwo tatuaży, ale nie wyglądał na o wiele starszego ode mnie. Mnie rodzice nigdy by nie po-

zwolili na dziary, więc zrobiło to na mnie wrażenie. Ale te jego tatuaże nie były ciekawe. Masa płonących czaszek, gołych dziewczyn na motocyklach i tak dalej. Podejrzewam, że ufarbował sobie włosy, bo miały nienaturalnie ciemny odcień. Oczy Bone'a też były czarne. Nie potrafił skupić na niczym wzroku. Wyglądał jak postać z komiksu.

- Które z was to seks, a które przemoc? - spytałem.

- Co? - Uśmiech Juliet zbladł.

- Seks i Przemoc Gratis - powtórzyłem powoli, jakbym mówił do małego dziecka. - Które jest którym?

Juliet zerknęła na Bone'a, chyba prosząc o wsparcie, ale on ani drgnął. Przesunęła ręką po ustach, jakby chciała je wytrzeć. Ktoś zaczął się śmiać i raptem urwał.

- Eee... ale to... - zaczęła niepewnie. - To tylko, no wiesz, taka nazwa.

- Ona nie jest moją dziewczyną - odezwał się nagle Bone. Na chwilę podniósł głowę. - Tylko jej się tak wydaje. Nie gramy razem. Nawet jej nie znam, jasne?

Juliet zaczęła coś mówić, ale Kac jej przerwał w pół słowa.

- Może przejdźmy do następnej osoby - rzucił.

Ta cała sytuacja skojarzyła mi się ze zwiedzaniem. Chodzi się po jakimś zabytkowym obiekcie w małych grupach z przewodnikiem, który pilnuje, żeby nikt na pewno nie dotknął świecznika sprzed ośmiu milionów lat czy tam czego jeszcze. „Może przejdźmy do następnej osoby” to nie propozycja, bo nie można jej odrzucić. To tylko bardziej ele-

gancka forma powiedzenia: „Wynocha stąd. Na korytarzu czeka kolejna banda chętna do oglądania świeczników”.

Kac przepędził więc nas z sypialni, z której Abraham Lincoln uwolnił niewolników, do kuchni, gdzie piecze się chleb jak przed dwustu laty. A tak naprawdę skinął tylko głową do następnej osoby – dziewczyny siedzącej obok Juliet.

– Nazywam się Sadie – powiedziała. – Jestem spod znaku Wagi. Lubię słońce, kocięta i uważam, że zanieczyszczenie środowiska i ludzie emanujący złą energią to dno. Aha, usiłowałam się utopić, jeden facet mnie uratował, no i żyję.

Spojrzała mi prosto w oczy, jakby rzucała wyzwanie. Miała bardzo niebieskie oczy, jak lód na biegunie północnym. Jej włosy były czarne, krótkie i najeżone, a skóra bardzo blada, przez co kolor oczu wydawał się jeszcze bardziej intensywny. Wyglądała jak złośliwy – czy raczej psotny – chochlik.

Potem miał mówić Bone, który mruknął tylko: „Jestem Bone” i znowu spuścił głowę. Miałem nadzieję, że opowie coś więcej o tej swojej-nie swojej dziewczynie albo wyjaśni, jak to jest być postacią z komiksu. Ale on pewnie uznał, że wyjawiał już wystarczająco dużo.

No i przyszła kolej na mnie. Naprawdę nie miałem ochoty się wywnętrzać, ale numer z tajemniczym milczeniem wykorzystał już Bone. Gdybym zachował się tak samo, wyszedłbym na naśladowcę.

- Jestem Jeff - powiedziałem. - Wsadzili mnie tu, bo uważają, że tego mi potrzeba. Ale się mylą. Nie mam nic więcej do dodania.

- A o co chodzi z tymi bandażami?

Sadie wskazała na moje ręce. Zerknąłem na nie. Spod podwiniętego mankietu wystawał brzeżek gazy.

- Nic takiego - mruknąłem. - Mała ranka.

- Dobrze - powiedział Kac Dupek. - Jeff już was trochę poznał. A teraz chcę porozmawiać o prawdomówności.

Wtedy się wyłączyłem. Osunąłem się w ciepłe, mgliste miejsce, w którym wszystko jest odległe i pozbawione znaczenia, a głosy brzmią jak pomruk przelatujących daleko samolotów. Wiedziałem, że pozostali rozmawiają, ale ich nie słuchałem. Nie interesowało mnie to, co mają do powiedzenia. Prawdomówność? Bez kitu. Co za denny temat. Prawda wyglądała tak, że nie powinienem się tu znaleźć.

W końcu samoloty przestały latać, a do mnie dotarło, że spotkanie się skończyło. Wszyscy wstali. Kac podszedł do mnie.

- Nie udzielałeś się dzisiaj - zauważył.

- Przepraszam - powiedziałem. - Mam sporo do przemyślenia.

- Na przykład?

Wzruszyłem ramionami.

- Na przykład czy szaleństwo na punkcie boysbandów się skończyło. Wiem, że tak mówią, ale się mylą.

- Może cię oprowadzę - zaproponował. - To jest pokój wypoczynkowy. Możesz w nim przebywać w obecności kogoś z personelu. Na ogół dyżurują cztery osoby: dwie pielęgniarki i dwóch salowych, a w nocy dwie pielęgniarki i ochroniarz.

- Ochroniarz - powtórzyłem. - Brzmi groźnie. Ma nie wpuszczać fanów Seksu i Przemocy Gratis?

- Podajemy tu także posiłki - kontynuował lekarz, jakby nie słyszał pytania. Wskazał dwa długie stoły otoczone plastikowymi krzesłami. - Na początku dostawałeś jedzenie do swojej sali, ale od dziś będziesz przychodzić tutaj. Wszystko przygotowywane jest w szpitalnej stołówce.

- Jedna wielka szczęśliwa rodzina - zauważyłem, kiedy ruszyliśmy korytarzem do mojego pokoju.

- Sale są jednoosobowe. Chłopcy po tej stronie, dziewczyny po drugiej. Nie wolno ci nikomu składać wizyt bez dozoru personelu. Po obu stronach korytarza znajdują się łazienki.

- Ale tam możemy się spotykać bez dozoru personelu? A może regulamin zabrania sikania w tym samym czasie?

- Otrzymasz rozkład zajęć na każdy dzień. Podczas pobytu w szpitalu masz odrabiać lekcje. Zatrószyczymy się o sprowadzenie podręczników i innych materiałów dydaktycznych z twojej szkoły.

- Powiadomicie szkołę, że mnie tu zamknęliście? - Już sobie wyobrażałem, jak dyrektor Matthews ogłasza to rano. „Dziś na obiad podajemy spaghetti z klopsikami, próba

cheerleaderek odbędzie się w sali gimnastycznej na drugiej przerwie, a Jeff siedzi w wariatkowie”.

- Dyrekcja dowie się tylko, że wyjechałeś na jakiś czas. To wszystko.

- Świetnie. Chociaż myślałem, że właśnie znalazłem świetny sposób na wykręcenie się od testu z matematyki.

- Jak już wspomniałem - podjął Kac - masz brać udział w sesjach grupowych, a także indywidualnych, ze mną.

- Też z dozorem personelu? No bo jakby chciał mnie pan jakoś niefajnie dotykać albo coś...

Kac wstał i podał mi kartkę.

- To rozkład zajęć na dzisiaj. Teraz masz czas wolny. Proponuję, żebyś poświęcił go na poznanie obecnych tu osób.

- Już lecę - zapewniłem go, składając świstek, na który nawet nie spojrzałem. - Świetna ekipa.

- Daj im szansę. Mogą cię zaskoczyć.

- Ależ ja wierzę! Wie pan, jak panu nie wyjdzie z leżeniem, może pan spróbować w Disneylandzie. W oprowadzaniu wycieczek pan wymiata.

- Zobaczymy się na południowej sesji - odpowiedział, nawet nie mrugnawszy. - Mój gabinet znajduje się na końcu drugiego korytarza za pokojem wypoczynkowym. Piełgniarka cię tam przyprowadzi.

Wyszedł, a ja spojrzałem w końcu na kartkę. Moja sesja terapeutyczna została wyznaczona na wpół do czwartej. Sprawdziłem godzinę na zegarze ściennym. Dochodziło wpół do pierwszej, co znaczyło, że muszę jakoś zabić trzy godziny do czasu, gdy mistrz sztuk magicznych

Kac Dupek spróbuje otworzyć mi głowę i zobaczyć, co w niej mam. Trzy godziny wypełnione nicnierobieniem.

- O pierwszej mam terapię zajęciową.

Obok mnie stała Sadie. Pokazała mi swoją kartkę.

- Mogę zrobić tacie portfel. Zawsze o nim marzył.

- A tak liczyłem na zajęcia z łucznictwa - powiedziałem. - A tu tylko podchody i zdobywanie flagi.

Parsknęła śmiechem.

- Witaj na Obozie Czubków, gdzie uczestnicy mają świra, a instruktorzy w y m a g a j ą, żebyś brał prochy.

- No, akurat ten uczestnik długo tu nie pouczestniczy - mruknąłem, zgniatając w dłoni moją kartkę.

- Jak to? Masz jakiś plan?

- Jasne. - Rzuciłem kulkę papieru do kosza. - Bardzo prosty. Nie jestem wariatem.

Sadie znowu parsknęła śmiechem.

- Jasne. Jak my wszyscy.

- Mówię serio.

- Ja też. Myślisz, że jestem wariatką?

- W końcu za coś tu trafiłaś, nie?

Skinęła głową.

- Tak samo jak ty. Uważasz, że tylko co do ciebie się pomylili?

Spojrzałem jej w oczy. Mówiła całkiem serio. Potem sobie przypomniałem, jak powiedziała, że chciała się utopić. To jasne, że jej odbiło. Mam się jeszcze użerać z jej świrem?

- Muszę iść do łazienki - mruknąłem. - To na razie.

DZIEŃ 4

Oto podstawowe fakty. Nazywam się Jeff. Mam trzynastoletnią siostrę Amandę i rodziców, którzy nadal ze sobą wytrzymują. Cała nasza czwórka mieszka w prześlicznym domku w prześlicznej okolicy w prześlicznym mieście podobnym do milionów innych miast. Rodzice nigdy nas nie bili, nie molestował mnie żaden ksiądz, koledzy w szkole nie dokuczali jakoś szczególnie. Nie słucham death metalu, nie mam obsesji na punkcie brutalnych gier wideo i nie odcinam dla zabawy głów małym zwierzątkom.

Mniej więcej to powiedziałem Kacowi na dzisiejszej sesji – czyli o wiele więcej niż wczoraj, kiedy siedziałem w milczeniu, aż pozwolił mi odejść. Ale dziś zaczął stukać ołówkiem w notes, przeszywając mnie spojrzeniem. Najwyraźniej w ten sposób lekarze zmuszają pacjentów do reakcji. To działa. Im dłużej się na mnie gapił, tym bardziej chciałem zacząć mówić, byle tylko przestał stukać.

Ale nie miałem ochoty opowiadać o sobie, więc obgadałem wszystkich z grupy. Było to już po naszym drugim

spotkaniu, na którym okazało się, że Alice gryzie kosmyki włosów, Juliet nadal kocha Bone'a, a Bone swoje buty. Wiekopomne fakty.

- To nie miejsce dla mnie - powiadomiłem Kaca na wypadek, gdyby sam dotąd tego nie odkrył. - Ci ludzie mają niezłe narąbane w głowach. Nie powinienem przebywać w ich towarzystwie. Jeszcze się zarażę.

Przez chwilę nie komentował, tylko stukał - puk, puk, puk - aż w końcu mu powiedziałem, że jak nie przestanie, wezmę ten ołówek i wbiję go sobie w krtań. Wtedy schował go do kieszeni.

- Dlaczego uważasz, że tu nie pasujesz? - spytał.

- A dlaczego pan uważa, że pasuję? - odpaliłem.

Znowu nie odpowiedział, tylko na mnie patrzył. Nie-samowite, ten facet potrafi strasznie długo wytrzymać bez mrugania. Ja też tak próbowałem, ale od razu mi wyschły spojówki. W końcu zapytałem:

- Pan jest prawdziwym doktorem? Znaczy po studiach i tak dalej?

- Jestem psychiatrą.

- Czyli nie jest pan prawdziwym lekarzem.

- Psychiatra to także doktor medycyny. W odróżnieniu od psychologa.

- Czyli uważa pan, że jest lepszy od psychologa. To niezbyt miło. Oni pewnie też się bardzo starają.

- To dwa różne zawody.

- Gdzie pan studiował? W prawdziwej uczelni czy takiej na Karaibach? - Słyszałem, że ludzie, którzy nie do-

stali się na studia medyczne, wyjeżdżają na Karaiby, gdzie najwyraźniej wystarczy przez cztery lata pić drinki z parasolką i siedzieć na plaży, żeby dostać dyplom.

– Studia kończyłem na uniwersytecie w Chicago, a doktorat zrobiłem w Toronto.

– Kanada. Więc jednak musiał pan wyjechać za granicę. – Pokręciłem głową, jakby bardzo mnie rozczarował.

– Przykro mi, ale nie budzi pan we mnie zaufania. Potrzebuję opinii innego specjalisty.

– Od dziesięciu lat pracuję z młodymi ludźmi – oznajmił Kac Dupek. – Zapewniam cię, że mam wystarczające kwalifikacje, żeby ci pomóc.

– Od dziesięciu? – Trochę się zdziwiłem. Nie sądziłem, że jest aż tak stary. – Poszedł pan na studia w wieku dziesięciu lat? Czy przez pracę rozumie pan jakieś wakacyjne praktyki czy coś w tym stylu?

Myślałem, że powie mi, ile ma lat, ale znowu zaczął się gapić. Rozejrzałem się po jego gabinecie, omijając go wzrokiem. Oprócz biurka w pomieszczeniu stała sofa. Były też dwa krzesła, siedziałem na jednym z nich. Nie plastikowe jak te w świetlicy, tylko z tapicerką z prawdziwej skóry, która nie odgniała człowiekowi tyłka. Pod ścianą stała biblioteczka z książkami wyglądającymi na nudne i doniczka z różowo kwitnącym kwiatkiem. Wisiał obraz. Przedstawiał czarno-białego psa z martwym ptaszkiem w pysku.

W oknie nie było szyby ze zbrojonego szkła. Pewnie nie istnieje niebezpieczeństwo, że psychiatra zechce się z nie-

go rzucić. Zastanowiłem się, czy nie spróbować wyskoczyć, ale byliśmy na trzecim piętrze i pewnie najwyżej złamałbym nogę. Dalej tkwiłbym w domu wariatów i w dodatku w gipsie, a to już moim zdaniem lekka przesada.

- Nie pasuję do nich - oznajmiłem, gdy znudziło mnie podziwianie mebli.

- Czyli do kogo? - spytał, jakby już zapomniał, o czym rozmawialiśmy.

- Do nich. - Machnąłem rękami. - Do reszty grupy. No naprawdę. Przecież to świry.

- Czemu tak mówisz?

- Jedna usiłowała upiec faceta - zacząłem, odliczając na palcach. - Druga kocha się w chłopaku, który jej nie dostrzega i chyba nawet nie wie, gdzie się znalazł. Następna bez powodu rzuciła się do jeziora.

- I uważasz, że się od nich różnisz?

- No pewnie. Pan tak nie uważa?

- Opowiedz mi o swojej rodzinie.

Jak już wspomniałem, rodzinę mam całkiem normalną. Wiadomo, czasami się o coś kłócimy, ale na ogół się dogadujemy. Jesteśmy tak nudni, że kusilo mnie, by coś zelgać, na przykład że matka zamyka siostrę i mnie w piwnicy, bo nie smakuje nam to, co ugotowała, albo że ojciec mnie ciśnie, żebym był we wszystkim najlepszy. Ale tak naprawdę tata powtarza, że on też nie miał dobrych stopni z matmy i że piątka z angielskiego rekompensuje tróję z trygonometrii. A mama zwykle kupuje obiad na wynos w Chińskim Smoku albo Meksykańskiej Gospodzie, bo

kiedy usiłuje sama coś przyrządzić, od razu w kuchni wybucha pożar.

- Jest świetna - oznajmiłem. - Niesamowicie i totalnie.

- To dlaczego chciałeś się zabić?

Facet zaczął mi działać na nerwy swoim uporem. Zrobiłem długą pauzę, żeby pomyślał, że się głęboko zastanawiam. Potem westchnąłem.

- No dobrze. To już powiem.

Kac wyprostował się nieco. Znowu wyjął ołówek i uniósł go nad notesem, jakby chciał zapisać każde słowo historycznego przemówienia.

- Zrobiłem to, bo... - zawahałem się i lekko zamrugąłem, jakbym miał lada chwila wybuchnąć płaczem. - Bo... bo nie mogę żyć na tym samym świecie co Paris Hilton.

Myślałem, że doktor na mnie nawrzeszczy, ale tylko coś zanotował. Po chwili podniósł głowę.

- Nie wydaje mi się, żeby panna Hilton była odpowiedzialna za twoje kłopoty. Oczywiście może irytować, ale o ile mi wiadomo, nie spowodowała niczyjej śmierci. Więc może po prostu wyjawisz mi prawdziwą przyczynę?

- Nie ma żadnej przyczyny - oznajmiłem. Zaczął mnie wkurzać, bo chyba mnie nie słuchał. - Zrobiłem to i już. Jestem nastolatkiem. Z nudów mi odbija. Teraz już zmądrzałem i chcę do domu.

Kac spojrział na zegarek i oznajmił, że na dziś skończyliśmy. Chciałem jak najszybciej spadać, więc kiedy dodał, że przestaną mi podawać jeden lek i że mogę się dziś czuć

trochę rozkojarzony, tylko skinąłem głową i wyszedłem, nie dopytując o szczegóły.

Rzeczywiście, kiedy Goody przyniosła kubeczek pełen śmiesznych proszków, nie znalazłem wśród nich jednej niebieskiej pigułki, którą wcześniej dostawałem. Przez parę godzin czułem się dobrze. Potem ogarnęło mnie lekkie zmęczenie, a następnie poczułem się, jakby ktoś mnie kopnął w głowę. Parę tysięcy razy.

Głupio się przekonać, że twój stan zależy od jednej małej pigułki, która wygląda jak tic tac i zawiera jakąś dziwną kombinację substancji, za sprawą których myślisz, że przeżywasz przygodę życia, choć tak naprawdę stoisz goły na środku szkolnej stołówki, a wszyscy robią ci zdjęcia. To taka przenośnia. Chyba.

DZIEŃ 5

W środku nocy obudziło mnie ohydne uczucie. Miałem zły sen, jeden z tych, które ciągną się w nieskończoność, choć właściwie nic się w nich nie dzieje. Biegłem przez wielki dom. Ktoś mnie ścigał. Uciekałem po schodach i przez labirynt korytarzy, szukając wyjścia. Cały czas ten ktoś był na tyle blisko, że słyszałem jego oddech.

W domu nie było pokoiów. Żadnych kryjówek. Mogłem tylko biec. W końcu dotarłem do jakichś drzwi. Ten ktoś, kto mnie ścigał – chyba jakiś stwór – wspinał się w ślad za mną po schodach, chrobocząc pazurami. Dyszał coraz głośniej, a ja nade wszystko pragnąłem uciec, zanim odkryję, kim lub czym on jest. Obracałem gałkę, ale zamek nie ustępował.

W końcu rozległo się szczęknięcie i drzwi stanęły otworem. Wybiegłem przez nie, ale nie trafiłem do żadnego pomieszczenia. Otaczała mnie czerni. Runąłem w otchłań, jakby podłoga się rozplynęła. Spadałem tak szybko, że nie mogłem nawet krzyknąć. Tonąłem w czerni, czując przeźraliwy chłód, a wiatr wył mi w uszach.

Potem się obudziłem i spojrzałem w twarz diabła wyszczerzonego w uśmiechu i gapiącego się na mnie z sufitu.

Usiłowałem znowu zasnąć, ale chaotyczne myśli nie dawały mi spokoju. Przez głowę przelewały mi się strumienie słów, jakbym miał w niej tysiąc różnych kanałów telewizyjnych. Leżałem tak przez jakiś czas, aż w końcu doszedłem do wniosku, że jeśli czegoś nie zrobię, oszaleję. Wstałem więc i poszedłem do pokoju wypoczynkowego. Jedna z pielęgniarek z nocnej zmiany, chyba nazywa się siostra Księżyc (no dobra, pewnie nie, nie znam jej nazwiska), siedziała przy biurku zwróconym w stronę korytarza. Rozwiązywała krzyżówkę.

- Potrzebujesz czegoś? - rzuciła z rozdrażnieniem. Chyba się wściekła, bo przeszkodziłem jej we wpisywaniu hasła trzydzieści dwa pionowo.

Pokręciłem głową.

- Chcę tylko posiedzieć.

Wskazała mi głową kanapę. Początkowo nie zauważyłem skulonej Sadie, która oglądała telewizję z wyłączonym dźwiękiem. Odblask ekranu migotał na jej twarzy. No naprawdę, chyba ją pogięło.

Na mój widok poklepała miejsce obok siebie.

- Siadaj - zaproponowała.

Posłuchałem, bo nie chciało mi się wracać.

Sadie oglądała jakiś czarno-biały film. Na ekranie mężczyzna i kobieta stali w staroświeckim salonie. Kobieta się denerwowała, a mężczyzna unikał jej wzroku.

- Jak możesz mnie zostawiać, Reginaldzie? - odezwała się Sadie smutnym głosem.

Spojrzałem na nią z zaskoczeniem. Patrzyła w ekran.

- Mówiłem ci, Daphne, że wyjeżdżam do Peru, żeby odnaleźć zaginione miasto Quezelacutan - dodała, zmieniając nagle głos na niski i gniewny.

Wymyślała dialogi.

Spojrzałem na ekran. Bohaterka gwałtownie chwyciła mężczyznę za rękę.

- Zabierz mnie z sobą! - rzuciła Sadie i załkała.

Mimo woli się roześmiałem.

- Ćśś! - syknęła Sadie. - To dramat. Nie wolno się śmiać.

- Przepraszam.

- Będziesz Reginaldem.

- Nie, dzięki. To twoja zabawa.

- Nie bądź świnia. Daj się namówić.

Nie miałem ochoty się kłócić, więc się poddałem. Na ekranie aktor usiłował wyrwać się kobiecie.

- Nie mogę cię zabrać do Peru - powiedziałem szybko, gorączkowo myśląc, co dalej. - Na łodzi brakuje miejsc.

- Przecież jestem drobna - odparła Sadie. - I nie jem dużo. Widzisz, jaka jestem chuda?

- Nie, Daphne - oznajmiłem. - Peru to nie miejsce dla kobiety, nawet chudej. Dostaniesz malarii i umrzesz.

- Ale ja mówię po peruwiańsku! - zawołała Sadie. - Nauczyłam się na pensji panny Piffingham.

Reginald się ożywił.

- Dlaczego wcześniej mi nie powiedziałaś? - spytałem.

- Nie wiesz o mnie wielu rzeczy, Reginaldzie - odparła Sadie, a kobieta z filmu puściła mężczyznę i wzięła się pod boki.

Zaczęła się przerwa na reklamy. Sadie spojrzała na mnie z uśmiechem. Pokręciłem głową.

- Ale z ciebie świr - powiedziałem.

- Nieźle, co? Lubię to. Przeważnie wymyślam fajniejsze historie niż te w filmach. Tak myślę. Nigdy nie włączam dźwięku. - Znowu spojrzała na telewizor. - Nie możesz spać, tak?

Pokiwałem głową.

- Czuję się, jakby w mojej głowie mieszkały ze dwadzieścia trzy osoby.

- Tylko dwadzieścia trzy? Ty farciarzu. - Sadie zerknęła na siostrę Księżyc i pochyliła się do mnie. - Odstawili ci Lek Na Całe Zło - dodała szeptem.

- Co?

- Lek Na Całe Zło. Zaczęli ci go dawać od razu po przyjęciu, żebyś nie ześwirował i nie zrobił sobie krzywdy. Jak już się upewnili, że nic ci nie grozi, wycofali go. Grzeczny z ciebie chłopiec. Ja jechałam na nim cały tydzień.

- Wolałbym go dalej brać. Zrobiło się do bani.

- Na tym etapie chcą, żebyś sobie przypomniał, dlaczego to zrobiłeś - wyjaśniła Sadie. Zerknęła na moje przeguby. - Udało im się?

Nie zdawałem sobie sprawy, że podciągnąłem rękaw piżamy i pocierałem bandaż opasujący mi rękę. Znieruchomiałem i zasłoniłem go.

- To minie - powiedziała Sadie, odwracając się do telewizora. - To, co się dzieje w twojej głowie. Stopniowo.

W milczeniu gapiłem się w ekran.

- A ty pamiętasz? - spytałem po chwili.

Skinęła głową.

- Chciałam odpłynąć - odezwała się sennie. - Wydawało mi się, że zdołam oddychać pod wodą. Jak syrenka.

- Ale serio chciałaś umrzeć?

Roześmiała się.

- Może tak, może nie. Kto wie. A potem tamten skozył i mnie uratował. - Spojrzała na mnie. Miała bardzo błękitne oczy. - Kto uratował ciebie?

Wzruszyłem ramionami.

- Chyba sanitariusze.

Pokręciła głową.

- Nie, oni tylko zrobili, co do nich należało. Kto uratował cię wcześniej? Kto po nich zadzwonił?

- Rodzice.

- Więc to oni cię uratowali.

O tym nie pomyślałem. Miała rację. Ale czy naprawdę mnie uratowali? Może mi tylko przeszkodzili?

- To jak, powiesz, czemu to zrobiłeś? - spytała Sadie.

Wzruszyłem ramionami. Przed chwilą fajnie się bawiliśmy, ale nie byłem w nastroju do zwierzeń. Zwłaszcza że nie miałem wiele do powiedzenia.

- W porządku - stwierdziła. - Nie musisz mi mówić.
Pooglądajmy telewizję.

I tak zrobiliśmy. Nadal nie włączyliśmy dźwięku. Sami też milczeliśmy. Po chwili ogarnęło mnie wielkie zmęczenie. Pożegnałem się i wróciłem do siebie.

Ale ciągle myślałem o Sadie i o tym, że chciała się utopić. Oto, do czego doszedłem: jak to jest, że ktoś ratuje samobójcę, a potem ma do niego pretensje za zepsuty dzień? Ciągle czuję, że ludzie chcą, bym ich za coś przeprosił. Ale nie mam za co, to oni spaprali sprawę. Nie ja.

Nie prosiłem, żeby mnie ratować.



Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA Sp. z o.o.
02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24c
tel. 22 643 93 89, 22 331 91 49, faks 22 643 70 28
e-mail: wnk@wnk.com.pl

Dział Handlowy
tel. 22 331 91 55, tel./faks 22 643 64 42
Sprzedaż wysyłkowa: tel. 22 641 56 32
e-mail: sklep.wysylkowy@wnk.com.pl www.wnk.com.pl

*Książka została wydrukowana na papierze
Creamy 60 g/m² wol. 2,0.*

Redaktor prowadzący *Katarzyna Lajborek, Joanna Wajs*
Opieka redakcyjna *Joanna Kończak*
Korekta *Katarzyna Nowak*
Opracowanie DTP, redakcja techniczna *Agnieszka Czubaszek*

ISBN 978-83-10-13186-7

PRINTED IN POLAND

Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2017 r.
Druk: EDICA SA, Poznań